
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na monotematyczny zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom oraz na monotematyczny (tzw. kazachstański) numer naszego pisma poświęcony śp. Marianowi Jonkajtysowi który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne. Często też stanowi on bazę źródłową dla studentów piszących prace magisterskie z zakresu historii.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego z Komisji Historycznej Zarządu Głównego Związku Sybiraków i serii „Tak było...Sybiracy”, wydawanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wprowadzony na strony „Zesłańca” wzbogacimy polską historiografię o ważne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. Tym razem w dziale tym publikujemy relacje zesłańców którzy w okresie ostatniej wojny przebywali w sowieckiej niewoli. Dziękujemy naszym do Czytelników za przesyłanie swoich wspomnień, dzięki którym dział ten możemy wypełniać interesującymi relacjami ukazującymi złożone i pełne nieszczęść życie zesłańców. (red.)

*

Adam Wołk – *Sytuacja zesłańców w związku z tworzeniem Armii Polskiej na terenie ZSRR*

Przytaczam tu urywek wspomnień dotyczących przemieszczeń więźniów z łagrów sowieckich na północy w kierunku południowym w związku z tworzeniem się Armii Polskiej na terenie ZSRR. Wyprzedzają one o około miesiąc moment podpisania, w dniu 14 sierpnia 1941 roku porozumienia – umowy wojskowej, która głosiła m.in.:

Armia polska będzie zorganizowana w najkrótszym czasie na terytorium ZSRR, przy czym będzie stanowić część Sił Zbrojnych suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej. [...] Będzie ona przeznaczona do wspólnej, z

wojskami ZSRR i innych mocarstw sojuszniczych, walki przeciwko Rzeszy Niemieckiej. Po zakończeniu wojny powróci do Polski [...] Polskie jednostki liniowe będą użyte na froncie po osiągnięciu gotowości bojowej [...] Żołnierze armii polskiej na terytorium ZSRR będą podlegali polskim wojskowym ustawom [itd.] i regulaminom. Uzbrojenie, ekwipunek, umundurowanie, samochody itd. będą dostarczone w miarę możliwości: a) przez rząd ZSRR z własnych zasobów, b) przez rząd Rzeczypospolitej z dostaw przyznaných na zasadzie Lease and Lendu.¹

Działania te stały się znakiem zmian w sytuacji Polaków w obozach: maleje terror, pojawiają się przebłyski ludzkich odczuć. W swoich wspomnieniach gen. Władysław Anders odnotował: „Po powrocie z Kujbyszewa na lotnisku w Taszkencie w nocy z 7 na 8 lipca podpułkownik NKWD Tiszkow zawiadomił mnie, że rząd sowiecki zgodził się na wyprowadzenie armii polskiej z ZSSR do Iranu.”² Oddaję zatem głos Janowi Zaleskiemu, byłemu zesłańcowi a potem żołnierzowi z 31 Kompanii Sanitarnej biorącej udział w bitwie o Monte Cassino, pełniącemu też funkcję oficera oświatowego. W jakim stopniu wyjście Armii gen. W. Andersa odbiło się na sytuacji polskich zesłańców pozostających w ZSRR mówią też wspomnienia mojej ciotecznej siostry Wandy Myśliwiec, której brat Czesław Sułkowski z poboru w lutym 1942 roku poszedł do Armii Polskiej.

Adam Wotk

*

Jan Zalewski – *Stała się omyłka...*³

1. Pierwsza wypłata. Wyjazd na południe

Roboty przy kopaniu rowów w Kniaź Pohost prowadził „zakluczony” były major NKWD. Sam nam to powiedział. Silny, bystry, dobrze zbudowany nie miał chyba więcej niż trzydzieści lat. Chodził w granatowym ubraniu, dobrze uszytym z grubego materiału. Mało z nami rozmawiał, ale wstretów nie robił. Czasem dopisał coś do normy, co nie było zrobione. I on chyba chciał wykazać się większą wydajnością pracy. Gdy wybuchła wojna chodził jakby zmartwiony. Zamyślał się i zapominał. Na dwa tygodnie przed naszym odjazdem z północy zniknął.

Pracowaliśmy do 15 lipca 1941 r. Szesnastego przyszedł jakiś urzędnik z NKWD i przeprowadził z nami rozliczenie. Wypłacał niektórym po parę rubli. Mnie powiedział, że za mieszkanie, wyżywienie i ubranie jestem im winien osiemset rubli. Kilku z nas miało jeszcze deficytowe rachunki. Nie pamiętam ilości. Odebrali nam watowane spodnie i kurtki. Ale nikt nam nie mówił, co z nami będzie. Dopiero siedemnastego lipca powiedzieli nam, że pojedziemy na południe. Dokąd? Nie powiedzieli. [...]

Siedemnastego lipca 1941 r. załadowano nas na bocznicę, do towarowych wagonów bez prycz, po czterdzieści osób na wagon. Drzwi nie zamknięto. Konwojentów nie było, a może i byli, tylko nie pokazywali się. Dali nam po małym kawałku chleba na drogę. Na drugi dzień, około południa

¹ W. Anders, *Bez ostatniego rozdziału...*, wydanie piąte, Lublin 1988, s. 62.

² W. Anders, op. cit., s. 133.

³ J. Zalewski, *Stała się omyłka... Wspomnienia z niewoli sowieckiej wrzesień 1939 – sierpień 1941*, Warszawa 1994, s. 140-153. (Pisanie tej książki autor zakończył w Chester – Wielka Brytania, dnia 22 na 23 września 1976 r. Przedruk za zgodą syna autora z książki wydanej w Warszawie).

przyjechaliśmy do Kottłasu. Wyciągnięto cały pociąg gdzieś na bocznice w polu. Wcześniej rozdano trochę zupy na każdy wagon i bardzo skąpą ilość chleba.

Po wyciągnięciu pociągu na bocznice, każą nam wysiadać i wychodzić na pobliską polanę. Obstawiono nas konwojentami z bronią w rękę i kazano rozbierać się do naga. Ustawili nas po pięciu, ale w odległości około dziesięciu kroków jeden od drugiego w bok i w tył. Rewizja. Na przedzie stało pięciu rewidujących enkawudzystów. Zabierają wszystko, nawet nie zapisane papierki, jeśli ktoś ma. Nie ma żadnej własności. Fotografie, jeśli ktoś ma, też zabierają. Rewizja tak szczegółowa, że nic nie da się przenieść. Widzę, że niektórzy niszczą jakieś papiery, fotografie i tym podobne rzeczy. Obok mnie szedł Woźniak, podoficer z lotnictwa. Przewiół w jakiś sposób na Daleką Północ album z fotografiami swej jednostki. Teraz widzę, że to wszystko niszczy, rwąc na drobne części. Myślę, że ja tego nie zrobię.

Miałem ze sobą przeniesione z południa odpisy świadectwa szkolnego i metryki ślubu, dwa listy od żony, fotografię ślubną i rodziny. Postanowiłem to jakoś przenieść. Rozebrany do naga idę w kolejce, trzymając te dokumenty włożone do mocno sfatygowanego portfela, niesionego pod łachmanami. Podchodzę do enkawudzisty naprzeciw mego szeregu i widzę, że to już starszy człowiek, chyba zmobilizowany, mocno siwy. „Co masz?” – pyta. Mówię mu patrząc prosto w oczy, że mam fotografię żony, dwa listy od niej i fotografię syna. Obejrzał się i powiedział ścisłym głosem „bros”. Rzuciłem to na ziemię. On wziął moje łachmany pooglądał je pobieżnie i rzucając na wierzch portfel mówi „uchadi”. Byłem tym tak zaskoczony, że nawet nie powiedziałem mu „spasibo”. W ten sposób przeniosłem kilka dokumentów i obrazek św. Teresy. Mam to wszystko do dziś. Przeniosłem również przez całą niewolę polski opatrunek osobisty.

Po przeprowadzonej rewizji załadowują nas na innej bocznicy do pociągu złożonego z wagonów towarowych bez prycz. Ale ciągle nie wiemy dokąd nas powiozą. W nocy jedziemy dalej na południe. Ale dokąd? Niepewności dodaje to, że wiozą nas jakoś dziwnie. Raz jedziemy na południe to znowu na wschód. Mapy nie mamy, niczego nie możemy sprawdzić. Po jakimś czasie jesteśmy na dworcu w Kazaniu. Jakiś enkawudzista przechodzi wzdłuż pociągu i mówi półgłosem: „Nie bójcie się, pojedziecie na południe do Wojska Polskiego”. Radość, lecz nieco później wydała się nam przedwczesna, a to z powodu tej jazdy pociągiem. Znowu na południe, później na północny zachód. Jakoś to bardzo dziwnie wyglądało. Oczywiście, nie znaliśmy połączeń kolejowych w Rosji. Nie pamiętam stacji kolejowych, przez które przejeżdżaliśmy, ale jestem pewny, że byliśmy w Riazaniu. Na większych stacjach po drodze dają jeść, ale mało. Załatwianie czynności fizjologicznych na miejscach postoju na dworcach na oczach ludności cywilnej, której jest wszędzie pełno.

To słowo „pełno” nie oddaje tego, co się tam działo na dworcach. Wszystkie, przez które przejeżdżaliśmy, zatłoczone były uciekinierami - przeważnie kobiety, dzieci i starcy. Wszyscy z małymi zawiniątkami, a niektórzy z dużymi tobołami. Leżało to wszystko na peronach i tłoczyło się przy sklepikach dworcowych. Nas przejeżdżających proszą o kawałek chleba. Wrażenie było stokroć gorsze niż w Polsce w 1939 r. Były tłumy na drogach ale z głodu nikt nie umierał jak tu, gdzie ciągle i przy każdej okazji mówiono nam: „u nas wszystkiego jest dużo”. Bocznice na dworcach zapchane wagonami

załadowanymi jakimś sprzętem wywozonym z fabryk. Odnosiło się wrażenie, że człowiek mógł ginąć z głodu, byle uratować sprzęt fabryczny. Naprawdę żal było patrzeć na te wymizerowane twarze dzieci i kobiet, proszących nas o kawałek chleba. Odnosiło się wrażenie, że jest to nieunikniona klęska.

Wreszcie, po różnych perypetiach, zatrzymywaniach na dworcach i jazdą tam i z powrotem, dojeżdżamy gdzieś na bocznicy w polu. Nawet wsi nie widać w pobliżu. Każą nam wysiadać, stawać po pięciu i prowadzą gdzieś w nieznaną. Idziemy jak cienie, ledwo powłócząc nogami. Prowadzi nas wzmocony konwój z karabinami maszynowymi i psami. Prawdopodobnie rozpuszczono wieś po okolicy, że to idą niemieccy jeńcy wojenni, ponieważ, gdy przechodziliśmy przez jakąś wieś, wyrostki obrzucają nas obelgami, grudami ziemi i grożą pięściami. Konwojenci nie reagują na te wybryki. Wrzeszczą tylko, by utrzymać się w szeregach.

2. Powrót do Wojska Polskiego.

Talica – Tatiszczewo. Marsz do obozu

Wyładowaliśmy się późno po południu, jeść nie dali. Wleczemy się, połowa z nas ma kurzą ślepotę. Nadchodzi zmrok, nie możemy iść, poruszamy się jak ślepcy. Żądamy odpoczynku i zatrzymania się na noc. Konwojenci oponują. Wreszcie „komandir” ustępuje i zezwala usiąść na jakiejś łączce. Nie ma mowy, abyśmy mogli iść dalej. Leżymy tam do rana. Idziemy dalej. Wydaje się, że już nie można wydobyć z siebie ani sił, ani woli dalszego marszu. Wleczemy się. Ostatnich konwojenci szczują psami. Wrzeszczymy, bo tylko taka obrona nam pozostała. Nadjeżdża jakiś enkawudzista na koniu, pyta, co się dzieje. Mówimy, że nie możemy iść, a tu konwojenci szczują nas jeszcze psami. Zabronił szczucia, obiecał podwoły. Do zapowiedzianej jeszcze wczoraj kuchni nie możemy dojść. Przechodzimy skrajem jakiegoś miasteczka, są dwa dwupiętrowe domy. Powiewa nad nimi płachta z czerwonym krzyżem. Szpital dla rannych. Zapewne i tam powiedzieli, że to Niemcy, bo skoro nas zobaczyli, to pełno twarzy ukazało się w oknach. Grożą nam z daleka pięściami. Za tym miasteczkiem jest kuchnia. Dają nam jeść jakąś bardzo rzadką zupę i po małym kawałku chleba. Dochodzi południe, jest gorąco, nie ma wody. Zmuszają do dalszego marszu. Wchodzimy w sosnowy las, droga piaszczysta. Gorąco i usuwający się piach spod nóg – trudno iść. Nadeszły podwoły. Dwa małe wozy, zaprzężone w bardzo mizerne koniki. Kto miał większe zawiniątko, położył je na wóz. Nie starczyło miejsca dla wszystkich zawiniątek. Usiadł tylko jeden żołnierz. To ten starszy pan, który opiekował się Ejsmanem w Karakubie i mną w Jossier. Nazwiska nie pamiętam.

3. Obóz w lesie

Nareszcie dochodzimy do jakiegoś ogrodzonego obozu w lesie. Stare budynki. Tu nas zatrzymują. Usiadłem i zasnąłem. Nie pamiętam jak długo spałem. Podobno Drapiński usiłował mnie budzić. Nie mogłem, bo nie reagowałem. Kiedy się obudziłem, chyba na drugi dzień, nie wiedziałem, gdzie jestem. Po dłuższej chwili oprzytomniałem. Widzę stoły i kolejki przed nami. To bolszewicy przeprowadzają nowy spis. Pytają tylko o dane personalne, nic więcej. Wstałem z trudem i, chodząc po obozie, zacząłem szukać znajomych.

Są zakwaterowani w jakimś starym budynku. Nic w nich nie ma prócz gołych piętrowych prycz. Dostałem coś do jedzenia i zapadłem znowu w sen.

Później okazało się, że to był stary ćwiczebny obóz armii carskiej. Nazywa się Talica i leży w lesie w zakolu rzeki Oki. Otacza go las mieszanych drzew. Jest sucho, piasek i zdrowe powietrze lasu. W budynkach w górze na belkach pod dachem pełno różnych napisów i adresów z prośbą o zawiadomienie rodzin. Są też napisy i w nieznanym mi językach. Znalazłem cytaty z Dantego po włosku: „pozбудьте się wszelkiej nadziei”. I my nie wiemy, co tu będą z nami robić. Nadal niepewność.

Zdaje się, że zwieźli tu wszystkich Polaków z Dalekiej Północy. Ale nie „zakluczonych”, tylko jeńców. Dają po osiemset gramów chleba dziennie i dwa razy na dzień dość dobrą zupę. Odżywiają nas. Wałęsamy się po obozie, szukając znajomych i rozmawiając na różne tematy. Nie mogę odnaleźć wielu znajomych. Złożyli swe kości w tajgach północy. Niektórzy chodzą do lasu po drewno do kuchni, noszą je na własnych barkach. Inni pracują w kuchniach. Innych zajęć nie ma. Znaleźli się tacy, co zawędrowali do okolicznych kołchozów. Skądś mieli pieniądze. A może to handel wymienny za doniesione koce i płaszcze wojskowe – nie wiem. Tak czy inaczej – kupili jakąś krowę, przyprowadzili do obozu, zabili i zaczął się handel. Wkrótce ruble, jakie kto miał, znalazły się w rękach kilku jednostek. Niektórzy kupowali to mięso i gotowali na ogniskach. Nieostrożność w spożywaniu mięsa i tłuszczu w większych ilościach przyprawiła kilku o śmierć. Ale handel szedł nadal. Później go zabroniono. Zabroniono również składania wizyt w kołchozach. Natomiast gra w pokera stała się dla wielu powszechnym zajęciem dnia. Karty zrobiono z kawałków twardego papieru. Siedziały grupki na piachu obozowym i ogrywały się nawzajem. Takie to już chyba życie. Jedni umierają z głodu, drudzy bogacą się na nich.

4. Wizytacja

A my wciąż nie wiemy, co dalej. Snujemy różne domysły. Ani gazet, ani wiadomości radiowych nie mieliśmy. Pewnego dnia około południa – daty nie pamiętam – zwołują nas wszystkich pod wieżę na której umieszczony był, dotychczas nieczynny, głośnik. Po chwili komunikat z Moskwy: Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich zawarł umowę z generałem Władysławem Sikorskim, że zostanie utworzona Armia Polska w Związku Sowieckim pod polskim dowództwem. Dowódcą tej armii został wyznaczony generał Władysław Anders.

Zaraz po zebraniu zaprowadzono nas do lasu. Tam dali nam łopaty i kazali wykopać pewną ilość lip. Te młode lipy przynieśliśmy do obozu i obsadziliśmy drogę od bramy wejściowej do głównego budynku administracyjnego. Utworzono w ten sposób szpaler z drzew liściastych. Cóż, lipy te stały chyba ze trzy dni i poschły. Deszczu nie było, był sierpień. Zamiast zieleni, stały drzewka z pokręconymi liśćmi.

Któregoś dnia po tym komunikacie z Moskwy zwołują zbiórkę. Ustawiają nas kompaniami według stanów sowieckich i prowadzą na błonie obok obozu. Jest tam już trybuna ozdobiona polskimi flagami i głośniki na drzewach. Ustawiają nas frontem do trybuny, ale w dość dużej odległości. Orkiestra gra Hymn Polski. Idą enkawudziści, a między nimi cywil. Ma nowe ubranie, ale wisi na nim luźno jak na kołku. Cywil wszedł na trybunę i zaczął

przemawiać po polsku. Dowiadujemy się, że jest pułkownikiem. Nazywa się Sulik. Przyjechał w zastępstwie generała W. Andersa. Mówi nam, że między Rządem Rzeczypospolitej a sowieckim zawarto umowę, że będzie utworzona Armia Polska w Rosji pod dowództwem generała Andersa. Głośniki źle przekazywały głos, więc są to tylko urywki z tego, co mówił pułkownik Sulik. Na zakończenie przemówienia pułkownik wznosił okrzyk na cześć sprzymierzonych: Anglii, Stanów Zjednoczonych i ZSRR. To ostatnie ubodło nas. Tak nas męczyli i katowali, a teraz wnosimy okrzyk na ich cześć. Katowani chwalą kata. Trudne to było do przyjęcia, ale pocieszałyśmy się tym, że grali Hymn Polski. Później już w pułku czytano nam, aby zapomnieć cośmy przeżyli w sowietach. Zapomnieć? Przebaczyłem im jako chrześcijanin, ale zapomnieć to fałszować historię.

Po przemówieniu pułkownik Sulik zwrócił się do nas z pytaniem, czy są wśród nas oficerowie. Jeśli tak, to prosi, aby podeszli do niego. Podeszło dwunastu. Byli w różnych stopniach. Najstarszy stopniem był podpułkownik Scheybal. Wiem, że wówczas nie wszyscy się ujawnili. Podpułkownik Scheybal został wyznaczony na komendanta obozu z ramienia władz polskich. Jakoś stało się różniej i radośniej. Powstał chór i na pierwszym wystąpieniu śpiewał: „Idziem do Ciebie ziemio. Matko nasza”, „Sztandary polskie na Kremlu” i pieśń powstańców z 1863 r., „Co nam marzyć o kochaniu”. A my dziwiliśmy się, że komuniści zgodzili się na śpiewanie tych utworów. Śpiewano, oczywiście, i inne polskie pieśni. Na tym pierwszym wystąpieniu chóru wielu miało łzy w oczach. Było też pełno enkawudzystów, uważnie nas obserwowali. Po zakończeniu śpiewu widziałem, jak zebrali się na uboczu i mocno o czymś dyskutowali.

5. Proroctwo

Wróciliśmy z tej zbiórki po przemówieniu pułkownika Sulika uradowani, że nareszcie skończy się nasza poniewierka i że droga powrotna do Polski skróciła się i przybliżyła. Oczywiście, ożywiły się rozmowy na ten temat. I tu znowu odżyły dyskusje na temat przyszłości Polski. I znów zaczęto mówić o różnych proroctwach dotyczących Polski. Od dłuższego czasu krążył po obozie odpis proroctwa. Skąd to się wzięło i kto to rozpowszechniał trudno było dociec. Ale faktem jest, że to proroctwo podtrzymywało wielu na duchu.

Przepowiednia pochodzi z dnia 23 września 1893 r. Seans odbył się w pałacu jednego z polskich arystokratów w Małopolsce. Medium mówi:

trudno ludzkie ustalić losy, gdy zmienność warunków odmienia dni; to, co wczoraj trwałem było, jutro istnieć przestaje. Oto powiadam wam: w dwa lata dziesiątki nastaną te pory, gdy z nieba ogień wytryśnie – spełnią się wtedy pieśni Wernyhory. Świat cały krwią się zachłyśnie. Polska powstanie ze świata pożogi. Dwa orły padną rozbite, lecz długo jeszcze los jej jest złowrogi. Marzenia ciągle niezbyte. Gdy lat trzydzieści we łzach i rozterce trwać będą cierpienia ludu. Na koniec przyjdzie jedno wielkie serce i samo dokona cudu. Gdy orzeł znak krzyża splugawi i skrzydła roztoczy złowieszczą padną dwa kraje, których nikt nie zbawi. Siła przed prawem jeszcze, lecz czarny orzeł wejdzie na rozstaje, gdy oczy na wschód obróci. Krzyżackie siejąc swoje obyczaje, ze złamanym skrzydłem powróci. Krzyż splugawiony razem z młotem padnie – zaborcom nic nie zostanie. Mazurska ziemia znów (Polsce) przypadnie, a w Gdańsku nasz port powstanie. W ciężkich zmaganiach z butą Teutona, świat znowu krwią się zarumieni. Gdy

północ wschodem będzie zagrożona w poczwórną jedność się zmieni. Lew na zachodzie nikczemnie zdradzony przez swego wyzwolenca. Złączony z kogutem dla lewka obrony na tron wprowadzi młodzieńca. Złamana siła świata, tym razem będzie wielki. Rękę wyciągnie brat do swego brata. Wróg w kraj odejdzie daleki. U wschodu słońca młot będzie złamany. Pożarem step jest objęty. Gdy orzeł z młotem zajmie cudze łany nad rzeką w pień wycięty. Bitna Białoruś, bujne Zaporozże pod polskie dążą sztandary. Sięga nasz orzeł aż pod Czarne Morze, wracając na szlak swój stary. Witebsk, Odessa, Kijów, Czerkasy to Europy bastiony. A barbarzyńca – aż po wieczne czasy do Azji ujdzie strwożony. Warszawa ósrodkiem ustali się świata. Lecz Polski są trzy stolice. Dalekie błota porzuci Azjata, a smok odnowi swe lice. Niedźwiedź po drugiej upadnie wyprawie. Dunaj w przepychu znów tonie. A kiedy pokój nastąpi w Warszawie trzech królów poi w nim konie. Trzy rzeki świata dadzą trzy korony Pomazańcowi z Krakowa, cztery na krańcach sojusznicze strony przysięgi mu złożą słowa. Węgier z Polakiem gdy połączą dłonie, trzy kraje razem z Rumunią przy majestacie polskiego tronu wieczną połączą się unią. A krymski Tatar gdy dojdzie do rzeki – choć wiary swej nie zmieni - Polski potężnej uprosi opieki. I wierny będzie tej ziemi. Powstanie Polska od morza do morza – czekajcie na to pół wieku. Chronić nas będzie stale łaska – więc cierp i módl się, człowieku.

Odpis z odpisu. Talica, dnia 25 sierpnia 1941 r.

6. Droga do Armii Polskiej

Rozeszła się któregoś dnia wieść, że będzie odprawiona Msza święta. Wybudowano ołtarz, dostarczono szat liturgicznych. Niestety, nie było wśród nas księdza. Był diakon Dzierzek, wyświęcony później w Rosji na księdza przez biskupa polowego WP Józefa Gawlinę. Diakon stojąc przed ołtarzem zaczął suplikacje, później litanie loretańską. Odśpiewaliśmy również kilka pieśni maryjnych i „Boże, coś Polskę”.

Aż któregoś dnia pod koniec sierpnia rozeszła się wieść, że pojedziemy do miejsc tworzenia się Polskiej Armii. Została utworzona komisja mieszana i każdy z nas przechodził przed tym zespołem, nie pamiętam, z ilu osób złożonym i kto z Polaków wchodził w skład tej komisji. Na pewno podpułkownik Scheybal. Dokumentów zwolnienia z obozów sowieckich bolszewicy nam nie wydawali, tak jak aresztowanym i rozsiyanym po obozach Polakom. My nie byliśmy aresztowani. Jeśli kogoś spośród nas aresztowano i zabrano z obozu, nigdy nie wracał. Tu idąc do Wojska Polskiego, tak jak zapowiedział pułkownik Sulik, nie zwracaliśmy na to żadnej uwagi. Nie znaliśmy treści zawartej umowy o utworzeniu Armii Polskiej w Rosji. Gdy przechodziliśmy pojedynczo przed komisją tylko enkawudzista pytał każdego z nas, czy z własnej woli – „dobrowolno” – idzie do Wojska Polskiego. Nikt z Polaków o nic nie pytał. Po pozytywnej odpowiedzi enkawudzista zezwalał odejść w kierunku, gdzie zbierali się już przepuszczeni Polacy – jeńcy. Widziałem, że kilku zatrzymano z jakichś powodów, stali z boku otoczeni konwojentami. Ilu ich było, nie wiem. Nikt wówczas nie zwrócił, zdaje się, uwagi na to, że to enkawudzista zapytywał obywateli Rzeczypospolitej Polskiej, czy chcą wstąpić do odtwarzanej Armii Polskiej. Nikogo z polskich władz cywilnych przy tym „poborze” nie było.

My, idący do wojska, byliśmy radzi, że wyrwiemy się spod jarzma NKWD. Nikt z nas nie był zdolny do noszenia broni. Wyglądaliśmy jak cienie,

ale wszyscy szli ochoczo bez sprzeciwu. Ustawiono nas grupami i odprowadzono do rzeki. Tam załadowaliśmy się na barki i popłynęliśmy Oką gdzieś do bocznic kolejowej w polu. Tam załadowaliśmy się do krytych wagonów towarowych, bez prycz, ale nieco czystszych, niż poprzednio w podróży z północy do Talicy.

Jechaliśmy znów jakoś dziwnie krążąc po Rosji europejskiej przez Kazań, Riazań i inne większe stacje, których nie pamiętam. W czasie jazdy wielu wyskakiwało na postojach na dworcach w poszukiwaniu chleba, a czasem i wódki. Nieraz spóźniali się i wsiadali do wagonów już w biegu. Stopni nie było. Kilku przepłaciło to życiem. Wszędzie na dworcach było pełno uchodźców. Zmęczeni, głodni i brudni prosili nas o kawałek chleba. A my też go nie mieliśmy. Spotkaliśmy gdzieś po drodze transporty wywożonych Niemców zawołżańskich.⁴ Stłoczeni w zamkniętych wagonach mężczyźni, kobiety i dzieci prosili nas o wodę i chleb. Konwojenci nie pozwalali rozmawiać z nimi. Gdy zobaczyłem tych ludzi tak poniewieranych, ścisnęło mi się serce. Myślałem, że może i moja rodzina tuła się tak gdzieś po Syberii.

Ile dni jechaliśmy, nie pamiętam. Nieraz staliśmy na stacjach i to dość długo. Przepuszczano transporty wojskowe. Pamiętam tylko, że nad ranem przyjechaliśmy do jakiejś małej stacyjki i tam kazali się nam wyładować. Okazało się później, że jest to w okolicach Saratowa. Wyładowaliśmy się i zaprowadzono nas niezbyt daleko do obozu w stepie. W obozie tym nie było niczego oprócz miejsc po namiotach oraz „czerwonego kącika” i dwóch czy trzech budynków sztabowych. Trochę drzew i krzewów, oraz przejścia pomiędzy miejscami po namiotach. Łotysze, których po wybuchu wojny wyrzucono z wojska do batalionów roboczych, byli tam jeszcze gdy zajechaliśmy, lecz szybko ich zabrano. Namioty dla nas były złożone na kupie. Miejscowość ta nazywała się Tatiszczewo. Tam formowała się 5. Dywizja Piechoty. Dowódca dywizji, generał Boruta Spiechowicz już tam był. Troszczył się o to, abyśmy nie spali pod gołym niebem. Namiotów nie można było rozstawić, brakowało słupków.

Ósmego września, jeśli mnie pamięć nie myli, przyjechał generał Władysław Anders. Ustawiliśmy się w szeregach. Przeszedł przed frontem o lasce, kulejąc. Przemówił i zapowiedział formowanie się armii. Wyglądał bardzo mizernie, tak jak i my. Przegląd trwał bardzo krótko, ale i to był zbyt wielki wysiłek dla niektórych. Było kilka omdleń. Dzień ten był pierwszym dniem formowania 5 Kresowej Dywizji Piechoty. Pierwszym pułkiem w niej był Pułk Trzynasty. Dostałem się do niego. Dowódcą był pułkownik Nikodem Sulik. I od dnia wstąpienia do pułku Armii Polskiej w Rosji rozpoczął się mój nowy rozdział drogi powrotnej do Polski.

*

⁴ Osadnicy niemieccy z czasów Katarzyny II, w sytuacji zbliżania się wojsk hitlerowskich do Powołża oraz Krymu (drugi rejon osadniczych Niemców w Rosji) wysiedlani byli do Północnego Kazachstanu.

Wanda Myśliwiec – *Na zesłaniu w Kazachstanie*⁵

1. Wyprawa do Pietropawłowska

Na daleki północny Kazachstan nie docierały wiadomości ze świata, tam wszystko było opóźnione, a już wioska w której przebywałyśmy Połtawka była 16 km od stacji Smirnowo w pustym stepie. Nie było gazet, ani radia, a poczta też docierała z paromiesięcznym opóźnieniem. Dostaliśmy w końcu list od tatusia, że wyszedł z łagru i pracuje w Czumbaju, ale on od nas nie dostał żadnej wiadomości i nie wiedział gdzie nas szukać. Pan Franciszek Szyszko wrócił do żony z Kołymy, a mama dopiero z listu od pani Dobrowolskiej z Polskiej Delegatury w Pietropawłowsku dowiedziała się, że nasz tata jest w Bucharze i pracuje w polskim sierocińcu. Listy od p. Dobrowolskiej miały ślady cenzury, niektóre słowa były zamazywane czarnym tuszem i nie wszystko było do odczytania. Mama moja koniecznie chciała pojechać do Polskiej Delegatury i porozmawiać z tą panią. Ona dobrze знаła naszego ojca jeszcze z Krzemieńca, bo również pracowała w starostwie. Nie było to łatwe do realizacji. Do Pietropawłowska piechotą trzeba było iść 100km i ja musiałam uzyskać wolne w pracy, żeby iść z mamą. Jednak los czasem, choć boleśnie, sprzyjał nam. Przy sianokosach w Benitkorze spadłam z wozu potłukłam oba kolana i brygadir zwolnił mnie do lekarza. A, u doktor Kacowej wywalczyłam, aż tydzień zwolnienia, gdyż stale chorowałam na malarię i jeszcze wciąż brałam chininę.

Był ciepły lipcowy dzień kiedy wyruszyliśmy do Pietropawłowska, a przed nami było 100 km pieszo. Mama uważała, że w dwa dni damy radę pokonać 100 kilometrów, dowiedziała się, że po 50-ciu kilometrach znajduje się duża wieś Winogradówka, w której na pewno znajdziemy Polaków i będziemy mogli się zatrzymać na nocleg. Wyszliśmy o świcie. Dość szybko minęliśmy Benitkor, mama miała na nogach jakieś pantofle, ale ja szłam boso. Zbliżało się południe i robił się straszny upał, a tu w koło step, ani jednego drzewka, usiadłyśmy w kępie traw i wyciągnęłam placki kartoflane i butelkę z herbatą. Po tym odpoczynku ruszyliśmy dalej. Droga była prosta prowadziła nas na północ, po odpoczynku szło się lepiej. Nagle zachmurzyło się i nadleciały ciemne chmury, nie przejęłyśmy się tym, bo w Kazachstanie deszcz pada raz na pół roku. Tymczasem zrobiło się jeszcze ciemniej, a za chwilę rozbłysła błyskawica i strzelił piorun. Przeraziłam się, bo tu pusty step, a my dwie jako najwyższe obiekty na tym pustkowiu. Rozejrzałam się, chwyciłam mamę za rękę i widząc zagłębienie pobiegłyśmy tam i upadłyśmy na ziemię, tuląc się do siebie. Lunał gęsty deszcz, nakryłyśmy głowy chustkami, słyszę że mama szepcze mi do ucha „Pod Twoją obronę” powtarzam za nią. Za chwilę leżałyśmy już w kałuży wody, ale jeszcze dwa błyski, parę trzasków i silny zachodni wiatr pogonił chmury na wschód.

Deszcz ustaje, wstajemy i wychodzimy na drogę. Na drodze pełno wody i z nas ścieka woda strugami, ale za chwilę pokazuje się słońce. Jesteśmy trochę ochłodzone tą wodą i idziemy żwawiej, a ubranie powoli osusza ciepły wiatr i słońce. Mama mówi, że Winogradówka ma być widoczna z prawej strony, ale

⁵ W. Myśliwiec, *Życie w cieniu Stalina (7)*, „Wołyń Bliżej”, nr 2 (54), Janów Lubelski, maj 2007, s. 4-9. Autorka dla „Zesłańca” dopisała część wstępną oraz przedłużyła znacznie swoją relację. (Adam Wołk – dalej A.W.)

dojdziemy tam dopiero wieczorem. To niestety jeszcze daleka droga przed nami. Mnie już bołą stopy, bo droga jest twarda, a mama dzielnie idzie stale równym krokiem, więc nie mówię nic o swoim zmęczeniu i o tym, że jestem strasznie głodna. Nareszcie słońce chyli się ku zachodowi. Idziemy wiaź w kierunku północnym, a po prawej stronie pusty horyzont. Już zaczynam się niepokoić i nogi coraz bardziej mnie bołą, ale nareszcie po prawej stronie daleko ukazują się drzewa. Nadzieja dodaje nam sił przyspieszamy kroku, mama daje mi ostatni kawałek podpłomyka gryziemy go idąc. Wówczas ukazuje się zakręt w prawo, a w dali widać domy wśród brzozowych drzew. To nareszcie Winogradówka. Przy drewnianej chacie, chłopak rąbie drewno, mama pozdrawia go po rosyjsku i pyta czy możemy tu odpocząć i prosi go o kubek wody. Wychodzi starsza kobieta, zaprasza nas do izby, a tam na piecu gotuje się coś dobrego, bo rozchodzi się miły zapach. Po prostu od tego zapachu robi mi się słabo, opieram się o drzwi. – Och, wy pewnie głodne- i kobieta sadza nas przy stole, nalewa nam pełne miski kapuśniaku i daje po kromce chleba. Jem i czuję wielką sympatię do tej dobrej kobiety, to wielki dar nakarmić głodnego. Mama je pomału i opowiada, że jesteście Polkami i idziemy w ważnej sprawie do Polskiej Delegatury. Sympatia kobiety do nas wzrasta, bo okazuje się, że ona pochodzi spod polskiej granicy, jej rodzice byli Polakami, ale zginęli oboje w czasie rewolucji. Ją sierotę zabrała ciotka, której mąż był Ukraińcem i nie pozwalał mówić po polsku, ale modlitwę pamięta i nagle mówi „Ojczy Nasz” po polsku, było to bardzo wzruszające.

Potem zaprowadziła nas do Polaków. W dużym domu mieszkały same kobiety i kilkoro dzieci. Przyjęły nas bardzo wylewnie. Poprosiłam o wodę do mycia, szczególnie chciałam umyć obolałe nogi. Zrobiły mi postanie na sianie z kocem i jak się położyłam to usnęłam. Natomiast mama została i pewnie im wróżyła, bo karty zawsze miała ze sobą. Rano pospiesznie zjadłyśmy czym nas poczęstowano i w drogę. Na szczęście droga wiodła przez las brzozowy, więc już bez upału. Pani która nas odprowadzała powiedziała, że około 5-ej po południu dojdziemy do tartaku i dalej droga będzie przez step, ale już w dali będzie widać miasto. Obiecałyśmy zająć w drodze powrotnej. Musiałyśmy dwa razy odpoczywać i się posilić, dobrze, że ludzie dali nam trochę na drogę. Zatrzymałyśmy się na chwilę przy tartaku i dostałyśmy od kobiety gorącej wody. Dalej była droga przez step, a na horyzoncie w dali widniało miasto, a mnie już tak nogi bołały, że ledwo szłam. Dogonił nas Kirgiz z furą siana, mama prosiła, żeby nas zabrał. Powiedział, że darmo nikogo nie wozi. Mama widząc, jak cierpię zgodziła się i wsiadłyśmy, zapłaciła mu 10 rubli. Za godzinę dojechaliśmy do obrzeży miasta. Dalej doszliśmy do centrum miasta, ale zrobiło się ciemno. Na ulicach nie było oświetlenia więc poszliśmy na dworzec kolejowy, bo on był oświetlony. W budynku było duszno i pełno ludzi. Wolałyśmy z mamą siedzieć na ławce przed dworcem. Niestety tu znów okazałam swoją słabość fizyczną, mama siedziała i czuwała, a ja leżałam z głową na jej kolanach i spałam. Dopiero rano prosiłam ją żeby się położyła. Potem przyniosłam trochę wody do popicia naszego jedzenia i znów dalej w drogę

Mama miała adres od tej pani, ale kierując się instynktem ostrożności wolałyśmy Ruskich nie pytać. Dlatego poszliśmy na „barachołkę”, bo byłyśmy pewne, że tam spotkamy Polaków. Tak pytając jedynie o „barachołkę” doszliśmy do centrum miasta, były tu nawet duże murowane domy, ale

chodniki były drewniane, głupio się poczułam boso. Wiele tu było wysokich płotów i „barachołka” też była za wysokim płotem. Okazało się, że jest wejście przez bramę w której trzeba kupić bilety.

Kupujemy bilety i wchodzimy. Na drewnianych ławach sprzedawana jest żywność, tu Polaków nie spotkamy, idziemy dalej. Widzę tłumek ludzi sprzedających ubrania i tam się kierujemy. Mówię: „Mamo, popatrz ten to na pewno Polak ma na sobie zielone spodnie do konnej jazdy”. Przepychamy się do niego i mama pyta go po polsku: „Czy pan wie gdzie jest Polska Delegatura?” Mężczyzna dziwnie z niepokojem rozgląda się na boki i pyta mamę szeptem „A wy skąd jesteście?”. Mama mu tłumaczy, że przyszliśmy z daleka, aż 100 km w ważnej sprawie do delegatury. Jeszcze raz rozejrzał się na strony i powiedział: „Wiecie, paniusiu tu się nie da rozmawiać, bo tu za dużo ‘uszu’. Chodźcie za mną i nic nie gadajcie, tu trzeba uważać co się mówi.” Poszedł, a my za nim, wychodzimy z tego targowiska i dochodzimy do drewnianego płotu, za furtką znajduje się ładny drewniany dom. Wprowadza nas do sieni i woła: „Marysia, chodź no tu”. Nazwana Marysią kobieta otwiera drzwi: „A, to ty Franciszek, wszyscy poszli do pracy jest tylko Józik, proszę wejście”. Wchodzimy i nazwany Franciszkiem zwraca się do mamy: „Ja jestem Franciszek Sokół, to moja żona Marysia; wywieźli nas z pod Tarnopola. A ten tu, to Józek Fronczek ze Lwowa”. A moja mama na to: „Ja nazywam się Natalia Sułkowska, a to moja córka Wanda pochodzimy z Krzemieńca”. Tutaj wtrącił Józik: „Kobitki siadajcie, znam Krzemieniec, tam urodził się Juliusz Słowacki”. Mama zaczęła opowiadać, że szliśmy tu dwa dni, aż z Połtawki żeby zobaczyć się z p. Dobrowolską bo ma od niej list i pokazała im list. Wówczas p. Franciszek też usiadł przy nas i poprosił: „Marysia nalej paniusiom herbaty. Pani Sułkowska, to może dobrze, żeście doszły tu dopiero dzisiaj i nie poszłyście od razu do tej delegatury. Wyobraźcie sobie, że właśnie dziś w nocy wszyscy pracownicy delegatury zostali aresztowani.⁶ NKWD jak wiecie zawsze działa nocą. Wiem od innych Polaków, że budynek jest opieczętowany i pilnują go tajniacy”. Tu Józik wtrącił zaciągając po lwowsku: „Ta, joj, kobitki ta jak by wy tam poszły, to jak amen w pacierzu, oni zamknęliby was. Boże, kochanieńki ta wy macie szczęście, ta joj!” Pani Marysia podała nam herbatę i na deseczce położyła pokrajany chleb. Mama załamała ręce: „O mój Boże, a za cóż ich aresztowali, co się stało?” Pan Franciszek wyjaśnił: „Zostały zerwane wszystkie umowy zawarte między Stalinem, a generałem Sikorskim. Chodzi o naszych polskich oficerów, którzy znajdowali się w obozie w Katyniu” – tutaj przerwał, wstał poszedł do sieni i zamknął drzwi na zasuwkę, wrócił i mówił dalej, ale po cichu. „Otóż, Niemcy ogłosili, że polscy oficerowie zostali rozstrzelani przez Sowietów. Tymczasem Stalin wypiera się i twierdzi, że to hitlerowcy zrobili, a jak było naprawdę nikt nie wie, bo niema świadków. Sprawa jest ciemna i okryta tajemnicą, niebezpiecznie o niej mówić, bo Sowietci mogą prześladować tych co za dużo o tym gadają. Wojna trwa nadal i w tej chwili Niemcy są największymi zbrodniarzami i wrogami całego świata”.

Mama znów załamała ręce i niemal z płaczem powiedziała: „Boże, co teraz będzie z moim mężem, który jest w Bucharze i pracuje w polskim

⁶ Kierownikiem Delegatury Ambasady Polskiej w Pietropawłowsku był Płocki lub Płoński (A.W.)

sierocińcu?” Na to p. Franciszek: „O, to się paniusiu nie martwicie on już jest w Persji. O tym wiem z radia, które słuchamy po kryjomu u jednego z przyjaciół. Otóż, gen. Anders wycofał nasze polskie wojska do Persji, a wraz z wojskiem sierocińce i wiele polskich rodzin. W tej sytuacji pani Sułkowska wy musicie jutro wracać, bo niebezpiecznie jest przebywać poza miejscem zamieszkania”. Mama odpowiedziała: „Tak ma pan rację musimy wracać, ciężko mi, bo znów aresztowali niewinnych ludzi, za co oni tak nas Polaków wciąż prześladują?”

Powrotna droga była o wiele łatwiejsza, do tartaku dowiózł nas sąsiad Józka, potem dość szybko dotarliśmy do Winogradówki. Tam u miłych Polek przenocowałyśmy. Mama o tym co się stało w Pietropawłosku opowiedziała, ale słuchając rady p. Sokoła mówić jak najmniej, bo jest zasada lepiej milczeć niż powiedzieć za dużo. Na drugi dzień wyszłyśmy bardzo wcześnie rano i wieczorem bez przeszkód dotarliśmy do Połtawki. W naszej chacie zastałyśmy wszystko bez zmian, a mama Ukrainkę zbyła odpowiedzią, że jesteście zmęczone i jutro jej opowie. Jeszcze dość długo modliłyśmy się dziękując Bogu, że nas nie spotkało w tej wyprawie nic złego. Rano ustaliłyśmy z mamą, że powiemy Ukraince, że Polska Delegatura została nagle przeniesiona do Akmolińska i nic nie mogłyśmy załatwić.

Zaraz na drugi dzień musiałam iść na pole pielic, oczywiście poszłam boso bo oszczędzałam trampek, które dostałam od Józika. Dzień był skwarny i przyszłam bardzo umordowana. Tymczasem mama ucieszona pokazuje mi list od ojca z Buchary, oglądam i widzę, data 6 czerwca, 1942 r a teraz jest koniec lipca i rok 1943 r widać, że ten list miał daleką drogę, ale najważniejsze, że dotarł do nas. Z listu dowiedziałyśmy, że nareszcie wypuścili Janeczkę [Sułkowską] z obozu [Sucho Biezwodnaja] to ona odnalazła nasz adres i ojca. Została wcielona do armii Andersa i dostała skierowanie na punkt zbiorczy do Krasnowodska. Dali jej również specjalne zezwolenie i pieniądze na podróż, ażeby zajechała do Buchary odwiedzić ojca, pracującego jako księgowy w sierocińcu polskim.⁷ To spotkanie po tylu przejściach było bardzo wzruszające i wielce szczęśliwe. Jakie to szczęście, że są razem. Tatusiowi dużo pomógł pan Wnek, dawny przyjaciel rodziny Kurzejów. Był on posłem oraz osadnikiem wojskowym, obecnie też w wojsku. Pisze tatuś, że niestety my tu na razie nie możemy przyjechać, gdyż wielu Polaków choruje na różne choroby zakaźne. Janka zaraz wyjeżdża do Krasnowodska, a potem statkiem przez morze Kaspijskie do Persji, tata pojedzie za parę dni z Polskim Sierocińcem do Teheranu. Ten list był dowodem tego, że wszystko co opowiadał p. Sokół jest prawdą i dobrze, że zdążyli wyjechać. A list był specjalnie przetrzymywany, żeby Polacy nie jechali na południe. Wiedziałyśmy, że teraz nastąpi dłuższa przerwa w korespondencji. Mama jednak postanowiła napisać do P.C.K. podając nasz adres i prosząc o obecny adres ojca i Janki i za parę dni go wysłała.

Tymczasem musiałam na wezwanie kołchozu chodzić do pracy. W sobotę na pole przyjechał konno brygadzysta i wykrzykuje: „Uwaga, wszystkie Polaczki w dniu 15 sierpnia mają się stawić w Sielsowietie w Smiernowie.

⁷ Relacja z listu: [...] dzieci mrą jak muchy. Cmentarzyk przy naszej Ochronce – różnie co dzień, już od połowy kwietnia 22 krzyże stoją... proces jest taki; dziecko wraca ze szpitala po wyleczeniu biegunki i po 2-3 dniach umiera – wprost gaśnie – co godzinę osłabienie większe i trup. (Jan Sułkowski, Buchara 28.VI.42. w archiwum autora – A.W.)

Należy posiadać przy sobie dokumenty (udostowierenie)". Idźcie zaraz do domu i powiedzcie to rodzinom, wszyscy powyżej lat 16-tu mają iść pieszo, a osoby starsze mają się zebrać na placu przy szkole i będą zawieszane. Mama dała się przekonać i pojechała, a ja z innymi szłam pieszo 16 km. To było bardzo upokarzające, gdyż w urzędzie NKWD zabrali nam nasze dotychczasowe dokumenty, w których wyraźnie było wypisane, że jesteśmy obywatelami Polski i był na nich stempel z orzełkiem. To było tak, że najpierw zabrali te dokumenty, a potem każdego osobno wołali na przesłuchanie i kazali nam przyjąć dowód z sowieckim obywatelstwem na 5 lat. Na przesłuchanie wzywano po jednej osobie, ja od razu powiedziałam, że nie znam rosyjskiego, mam 17-cie lat i muszę iść z mamą. Już w tej poczekalni opowiadano szeptem, że został zatrzymany nauczyciel Lewandowski i wszyscy trzęśli się ze strachu. P. Szyszko powiedział do mamy: „Ja już byłem w więzieniu i w obozie i wiem, że drugi raz tego bym nie przeżył. A proszę panią komu jest potrzebny martwy Polak, my musimy wszystko robić, żeby przeżyć to wtedy będą się starali nas sprowadzić do kraju. Najważniejsze, żeby w tym dokumencie było wpisane, że mamy narodowość polską i o to trzeba się upomnieć”. Myśmy z mamą przyjęły ten dowód, oczywiście musieli wpisać narodowość polską, dowód był imiennie dla mamy, ja tylko byłam tam wpisana jako córka. Wszyscy inni Polacy też tak zrobili, bo innego wyjścia nie było, chyba że inaczej postąpili Ukraińcy, Czesi i Żydzi, ale nikt z nas ich o to nie pytał. Wracaliśmy zmęczeni nie tylko fizycznie, ale i moralnie, ze zwieszonymi głowami. [...]

2. Praca na zesłaniu jako ludzi wolnych

A tu zostaliśmy całkowicie pogiębieni wiadomością, że w katastrofie lotniczej zginął nasz ukochany generał Władysław Sikorski nasza gwiazda nadziei zgasła. Poza tym wiadomość podobno była z przed miesiąca. Na to odludzie wszystkie wieści docierały z wielkim opóźnieniem. Wielkie nieszczęście nas spotkało, bo wizja naszej wolnej Polski oddalała się, pozostawał tylko pusty step i bezkres nieba oraz codzienna walka o kawałek chleba, żeby przeżyć. Po tym ciężkim dniu, wieczorem z mamą długo modliłyśmy się prosząc Matkę Boską o zesłanie nam jakiejś pomocy lub wskazówki co mamy dalej robić.

We wrześniu znów zawieźli nas do Benitkoru do pracy przy zagospodarowywaniu „Szpitala dla ofiar wojny”. Oczywiście jak zwykle Renatę, Stachę i mnie. Byli już tam mieszkańcy, wojskowi i inni niepełnosprawni. Podeszło zaraz kilku wojskowych i serdecznie nas witając zapraszali do siebie. Jeden się odezwał: „Chodźcie dziewczęta, zobaczycie jak my żyjemy. Mamy harmonistę, zagra nam i zaśpiewamy”. Brygadzysta łaskawie pozwolił nam iść. Sympatyczni żołnierze przedstawili się, jeden był Michał, a drugi Kola. Michał lekko utykał, a Kola był strasznie błądy i miał całą twarz w niebieskie kropki. Zaprowadził nas do pokoju, gdzie było pełno łóżek, a na jednym z nich siedział barczysty mężczyzna, przed nim na stole leżała harmonia. Kola powiedział: „Borys, prowadzimy młode dziewczęta, czy zgadniesz po ile mają lat?” Nazwany Borysem podniósł głowę, wtedy zauważyłam, że jest ślepy, oczy jego były martwe i patrzyły w jeden punkt. „Cieszę się bardzo – powiedział Borys – musicie odezwać się kolejno, jak wam na imię?” Odezwałam się pierwsza: „Dzień dobry Borys, mam na imię Wanda.”

„Wanda ma 17-cie lat” – oświadczył Borys. Potem dokładnie określił, że Renata ma 20-cia, a Stasia 19-cie. „Ja widzę uchem, ale lepiej wam zagram, a wy zaśpiewajcie.” On grał, a Michał i Kola śpiewali piękną frontową piosenkę. Słysząc było, że Kola ma piękny głos. Za chwilę przyszło pełno innych mieszkańców tego domu. Przykry widok był rosnącego mężczyzny na małym wózekczku, bez obu nóg, trzymał w rękach coś w rodzaju szczotek i tym odpychał się o podłogę. Drudzy byli bez obu rąk. Jeszcze przyprowadzili wysokiego żołnierza w mundurze z wieloma medalami, on był bez rąk i ślepy, jego twarz była zorana bliznami, a zamiast oczu dwa doły. Na ten widok, coś mnie ścisnęło w dołku i wtedy wpadł brygadzysta z wrzaskiem- No dziewczęta dosyć tej zabawy, chodźcie do roboty!

Kola i Michał odprowadzali nas i Kola mówił, że oni chcą zorganizować chór i na pewno przyjadą do naszego kołchozu. Ja wtedy zapytałam Michała: „A tobie co zrobili na tej strasznej wojnie?” On zdziwiony poklepał się po nogach w wysokich butach: „Przecież to nie moje nogi, to protezy, nie widać?” Stasia pociągnęła mnie za rękę „Wanda szybciej, bo wozy czekają”. Pobiegłyśmy do wozów do roboty. Po południu, gdy przy wielkiej stercie rozładowywałyśmy wozy, ze mną pracował cały czas brygadzysta, bo choć się starałam, ale byłam za niska, nagle przyleciał chłopak i podał brygadziście jakiś papier. Ten ocierając pot rękawem czytał, a za chwile zaczął okropnie przeklinać, po solidnej wiązance przekleństw, powiedział do nas: „Jesteście wezwane do Rajkomu, oto powieści dla was. No i kto będzie zwoził siano? Ale, przysłali mi robotników.” Potem to tak przeklinał, że nie dało się tego słuchać.

Wzięłam te papiery od brygadzysty i pomyślałam sobie, że nie jestem niewolnicą kołchozu i już więcej tu nie wrócę do tej pracy. Wezwanie było na jutro, więc obecnie musiałyśmy pracować o głodzie do samego wieczora, ażeby wszystko siano było złożone w ogromną stertę. Brygadzysta nas pilnował, ale potem wydał nam chleb na jutro na drogę, bo taki miał „prykaz”. Oczywiście wstałyśmy wcześniej rano, napiłyśmy się trochę wody gorącej i zjadłyśmy po kawałku chleba i w drogę. Idąc do Smirnowa dyskutowałyśmy o naszym Polskim Wojsku i bardzo cieszyłyśmy się, że to jest droga która nas poprowadzi do naszego kraju. W Smirownowie poszłyśmy do Igańskich, to byli dobrzy znajomi Stasi, która też pochodziła jak i oni, z Siemiatycz. Tam umyłyśmy się i zjadłyśmy z herbatą swój chleb. Okazało się, że ta komisja dla nas była przykrym pokazem. Byłyśmy tym oburzone, bo musiałyśmy stać nago przed komisją w której udział miały tylko 2-wie kobiety lekarki i aż 3-ch mężczyzn wojskowych. Najgorsze było to, że po godzinie ogłoszono, że powołanie do wojska dostaną tylko starsze roczniki, a my możemy wracać do pracy. Nasza nadzieja przysła jak bańka mydlana, byłyśmy rozczarowane i rozgorzyczone. Renata ze Stachą wracały do Połtawki, prosiłam je, ażeby przekazały mojej mamie, że ja jadę do Kijał do babci. Oczywiście pieniędzy na pociąg nie miałam, więc pojechałam pociągiem towarowym, były to platformy do przewożenia piasku. Jakoś szczęśliwie dojechałam, a najważniejsze, że się ten pociąg tam zatrzymał. Babcia się ucieszyła, wiele było opowiadania na temat komisji wojskowej. A później o naszej przeprowadzce, bo zbliżała się zima i trzeba się było już decydować. Babcia zaprowadziła mnie do znajomej Polki p. Hermanowskiej, ale u nich nie było miejsca. Ona doradziła, u Daszy. Na szczęście Dasza była w domu i zgodziła się odstąpić nam miejsce w kuchni za

piecem. Nawet poleciła mi znajomego kierowcę, który jeździ do Połtawki, po śmietaną dla Zakładów Mleczarskich w Kijałach. Poszłam zaraz do tego kierowcy, zgodził się chętnie. Mama była zdumiona, kiedy przyjechałam. Kierowca mnie wysadził i kazał nam spakować się, za godzinę przyjedzie po nas. Szybko zapakowałyśmy nasze tobołki. Potem pożegnałyśmy się z mieszkańcami naszego międzynarodowego domku. Ukrainka była tak dobra, że dała nam na pożegnanie kawał chleba, a Żydówka Bejga ofiarowała kawał słoniny i kilka cebul i powiedziała: „Pani Sułkowska, pani była taka dobra kilka sukienek mojej Rebecce poszyła i nic nie wzięła. Słonina wam się przyda, nam nie wolno jej jeść, a cebula dla córki ona musi stale pracować biedna.” Serdecznie dziękowałyśmy za wszystkie dary, i życzyłyśmy im zdrowia. Kierowca nas zabrał i szczęśliwie dowiózł do Kijał. Połtawka została za nami, a przed nami nowy rozdział naszego życia.

3. Kurs traktorzystów

W Kijałach zamieszkałyśmy we wsi Machorowce na ul. Pionierskiej u Daszy Damaszenko. Wszystko to szumnie brzmi, a naprawdę to Dasza pozwoliła nam zająć kąt w kuchni za piecem chlebowym. Jeszcze zapowiedziała, że nie wolno nam wchodzić do jej pokoju. Wcale nie byłyśmy ciekawe tego pokoju tym bardziej, że tam bawiły się jej krzykliwe córeczki – Swietłana i Sonia, mające 4 i 5 lat. W tym kącie ułożyłyśmy swoje rzeczy, a spanie miałyśmy na leżance i wszystko dobrze się zaczęło układać. Ja na razie nie miałam pracy, więc chodziłam po ludziach na wykopki ziemniaków. Tam poznałam się z Bronką Hermanowską i Mirką Żywiecką, z którymi w chwilach wolnych spotykałyśmy się u Mirki. Tam też przychodził Adaś [Wołk], do jej brata Dolka. Tu było dość dużo Polaków, z którymi powoli zapoznawałam się. Najmilej było kiedy szliśmy do Heli Bajerówny zwanej „Bajerek” ona była od urodzenia kaleką, nie chodziła, ale za to pięknie grała na gitarze i ładnie śpiewała. Tam uczyliśmy się od niej różnych piosenek polskich i ruskich też. Jednak trzeba było pracować a ja koniecznie chciałam dostać pracę w sowchozie. Pracownik sowchozu dostawał bowiem kartki na zakup chleba, dla pracującego 500 gram i dla członka rodziny 300 gram.

Kiedyś do Daszy przyszła szwagierka i brat męża. Ona – Lidia była nauczycielką w tutejszej Dziesięciolatce, typowa stara panna, a brat Wołodia był jakiś dziwnym wielkim chłopiskiem o twarzy młodzieńca bez zarostu. Zastanowiło mnie to dlaczego on nie jest na froncie, kiedy jego brat musiał zostawić żonę i dwoje dzieci, coś w tym musiało być? Ta Lidia wypytywała mamę o różne rzeczy, a potem przyczepiła się do mnie, z pytaniem, czy wierzę w Boga? Na tym tle wywiązała się dyskusja, z której wynikało, że ona koniecznie chce mnie przekonać do tego, że nie ma Boga. Potem zrozumiałam, że oni przyszli w celu sprawdzenia co to za „element” zamieszkał u Daszy? Poza tym Lidia jako pedagog sprawowała nadzór nad dziećmi swojego brata, ażeby były wychowywane w duchu stalinowskim. Widocznie niezbyt jej się spodobałyśmy, bo po tej wizycie Dasza zapowiedziała nam, że nie wolno nam się modlić głośno (czego nigdy nie czyniłyśmy) ani wieszać obrazków.

Chodziłam z Mirką i Bronką w step zbierać opał, którego wечно było za mało, a szczególnie trzeba było robić zapasy na zimę. Step ma wiele różnych zapachów, jednak najbardziej przebija wszystkie inne gorzki zapach piołunu. Piołun tu rośnie do wysokości 2-ch metrów, a jego chaszczki upodobały sobie

komary i biada temu kto tam wejdzie, komary starają się go zjeść. To są te gorzkie i kąśliwe strony kazachstańskich stepów. Są też miłe uroki – wielkie obszary nieba, a na nim piękne obłoki o różnych kształtach. Widoki są wspaniałe, horyzont okrągły dokładnie jakby cyrklem obrysował. Piękne są też poranki, długo jest ciemno, ciemno, aż nagle wyskakuje słońce, ogromne pomarańczowe. Od razu staje się dzień, a później nagle zapada noc i robi się bardzo ciemno, choć oko wykol. Rozjaśnia się kiedy zabłyszczą gwiazdy, a kiedy wypłynie księżyc robi się całkiem jasno, dla ludzi stepowych. Wiatr jest tu królem, on tu gwizdże, świszczy, hula po stepie bezkarnie zarówno w lecie jak i w zimie. Jedno dla nas było miłe, że wiatr wiał z zachodu i w tym 1943 r. wdmuchiwał nam do ucha nadzieję bliskiego końca wojny. Życie nasze toczyło się szybko jak ten wiatr po stepie, czasem ukazywało nam różne piękne ułudne miraży, ale prawda była gorzka i kąśliwa. W tym czasie starsi chłopcy i nawet dziewczęta też zostali powołani do Polskiego Wojska do Armii Kościuszkowskiej. Nawet te dziewczęta które niedawno tu poznałam jak: Wanda Bajerówna, Jadzia i Henryka Chanówny, Irena Pers. Dlatego napisałam do Moskwy do Związku Patriotów Polskich Wydział Wojskowy z prośbą o powołanie mnie do wojska. Niestety odpowiedź była odmowna. Polecili mi, napisać do Rejonowego Komitetu, gdyż oni w miarę zapotrzebowania kierują też kobiety do Polskiej Armii. Napisałam też do Smirnowa do Rejonowego Komitetu i czekałam na odpowiedź. Ta korespondencja trwała miesiącami.

Nareszcie dostałam wezwanie do sowchozu i zaproponowano mi przyjęcie na kurs traktorzystów. Kurs ten utworzono, ze względu na ogólny brak mężczyzn do pracy, a szczególnie kadry ludzi wyszkolonych. Ten kurs dawał uprawnienia do zakupu chleba na kartki w sowchoskiej stołówce, na takich samych prawach jak pracującym. W tym czasie przywieziono Czezeńców i Inguszy, rosnących młodzieńców, nadających się do roboty, tylko niezbyt dobrze mówiących po rosyjsku i niestety niezbyt chętnych do jakiegokolwiek pracy. Na kurs przyjęto około 15 Czezeńców, 2-wie Polki mnie i Alinę, Ritę-Łotyszkę, i kilku 16-to letnich chłopaków ruskich.

Wykładowcą był oficer, inwalida wojenny bez nogi. Powrócił niedawno ze szpitala, chodził o kulach, prawej nogi mu brakowało powyżej kolana i dlatego nie mógł mieć protezy. Nazywał się Stiepan Sierota, był to człowiek młody, ale bardzo poważny i wymagający. Umiał wyklądać, żądał również dyscypliny i rygoru wojskowego. Był bardzo nerwowy, więc już po miesiącu kilku Czezeńców zbuntowało się przeciw jego wymaganiom. Twierdzili, że nie rozumieją dobrze po rosyjsku, nie robili żadnych notatek, a na wykładach wręcz przeszkadzali rozmawiając między sobą. Nasz wykładowca wezwał inżyniera Klucznikowa, który był organizatorem tego kursu z ramienia Sowchozu. Klucznikow przyszedł na wykład, aby ocenić stan faktyczny i zdecydować co zrobić z „buntownikami”. Po tej kontroli pozostało tylko kilku Czezeńców z których część przeniesiono do innej pracy, a część całkowicie zwolniono. Pozostali uczęszczali stale i uczyli się dość dobrze, a szczególnie zdolnym był Kolka Krasnogołowy, jeden z tych szesnastolatków. Ja natomiast cieszyłam się, że nauczę się jazdy na traktorze, bo już będąc w Poławce jeździłam jako pomocnik traktorzysty. Po prostu byłam z traktorem obeznana i wiele wiedziałam, gdyż brałam udział przy każdej reperacji motoru i znałam nazwy wielu części, ich zastosowanie i działanie. Może dlatego nauka o pracy motoru spalinowego przychodziła mi dość łatwo.

Na zakończenie kursu odbył się egzamin. Do egzaminu zostało dopuszczonych 15 uczniów, w tym 4 dziewczyny, 6 Czeceńców i 5 ruskich chłopaków szesnastoletnich. Egzamin odbywał się w dyrekcji Kijalińskiego Ziarno-Sowchozu. Za stołem nakrytym czerwonym płótnem siedziała komisja, dyr. Sowchozu Dubronin, wykładowca Stiepan Sierota, sekretarka i wojskowy. Egzaminował nas inż. Klucznikow, stał on przy tablicy obok której na stole leżały też części z traktora. Kiedy weszłam inżynier zapytał mnie: „Wanda Sułkowska, pokaż mi karburator i podaj jego części?” Odpowiadałam na każde pytanie inżyniera i widziałam, że odpowiadam dobrze, że jest zadowolony z moich odpowiedzi. Nagle ten wojskowy wstał i zapytał: „Powiedz mi co wiesz o Katyniu?” Zostałam tym pytaniem bardzo zaskoczona, stałam zmieszana i nie wiedziałam co mówić, ale on ponowił pytanie. Wpatrywał się we mnie swoim świdrującym wzrokiem który przeszywał mnie niemal na wylot. Wówczas powiedziałam, że byłam na filmie „Prawda o Katyniu” i tam powiedziano, że polskich oficerów zamordowali Niemcy. Inżynier przerwał zwracając się do wojskowego: „Wybaczcie towarzyszu politruk, ale czas goni ludzie czekają” i poprosił następnego ucznia. Szybko wyszłam na korytarz Rita i Halit zaczęli mnie wypytywać, jak mi poszło powiedziałam że nic nie wiem, ale myślę że inżynier był zadowolony. Rita na drugi dzień przysłała do mnie i opowiadała, że wszyscy zdali, a najlepiej zdał szesnastolatek Kolka i już został zatrudniony na kombajn.

Ja starałam się o powołanie do Armii Kościuszkowskiej, bo już starsze roczniki dziewcząt wyjechały i właśnie nadeszła odpowiedź z Moskwy, że narazie do wojska nie ma poboru. Jednak następnego dnia dostałam, tak zwaną „powiestkę” czyli wezwanie do Rejonowego Wojennego Komisariatu ze Smirnowa. Było to powołanie do służby na tyłach do Uczelni Fabryczno-Zawodowej nr 10 w Bałchaszu. Natychmiast poszłam do inżyniera, zapytaniem czy uzyskam od nich zwolnienie z tej szkoły, bo przecież mam już zawód traktorzysty. Tymczasem inżynier przeczytał „powiestkę” i powiedział: „Nie wiem co takiego nie podobało się temu politrukowi, ale on miał wielkie zastrzeżenia co do ciebie i chciał cię wezwać na przesłuchanie do Smirnowa. Dyrektor i ja uprosiliśmy go, ażeby dał ci spokój, bo w Sowchozie brakuje fachowców, a ty dobrze zdałaś egzamin, bo ci Czeceńcy na pewno nie podejną pracy, wiem o tym. Jednak ponieważ dostałaś wezwanie z Rajkomu, to ta sprawa stała się najważniejszą i musisz się tam stawić, my nie możemy cię zatrzymać, ani ten politruk. Jedź do szkoły to dobrze ci zrobi, a kiedy wrócisz to zgłoś się do mnie i dostaniesz pracę. Podziękowałam mu za radę.

Po naradzie z mamą uznałyśmy, że z Rajkomem nie ma żartów, no i lepiej będzie dla mnie, żeby ten politruk zapomniał o mnie. Do Bałchaszu była uciążliwa i długa podróż cały czas na południe przez Karagandę, aż nad jezioro Bałchasz prawie 1000 kilometrów. Rozmyślałam nad pytaniem politruka co chciał ze mnie wyciągnąć na temat Katynia? Nie wiem, ale jedno wiedziałam, że bałam się, sowieckich metod postępowania z Polakami. Myślę, że Sowietom zabrakło odwagi przyznać się do tej potwornej zbrodni i starali się ukryć to przed całym światem. Przez wiele lat udawało im się ukrywać i kłamać, dopiero niedawno przyznali się do tej zbrodni. Wciąż jednak jest wiele okoliczności nie wyjaśnionych i nadał winni nie są ukarani, oraz obecne władze Rosji umywają od tego ręce. Żadnych słów ubolewania ani przeprosin nie usłyszeliśmy za tą i wiele innych zbrodni od narodu rosyjskiego, a przecież żyjemy po sąsiedzku.

W szkole w Bałchaszu byłam miesiąc i zwolniono mnie 6 grudnia 1943 roku, posiadam nawet stosowny dokument. Przyczyną było podejrzenie że jestem chora na gruźlicę co było zagrożeniem, bo spałyśmy w internacie po dwie na jednym łóżku. Na szczęście była to pomyłka młodej lekarki, a może zamierzona chęć pomocy polskiej dziewczynie? Miałam się szkolić na „elekrowoza” do ciężkiej pracy w kopalni rudy żelaza. Po powrocie do Kijał wyzdrowiałam i inżynier przyjął mnie do pracy w Mechanicznych Zakładach, a nawet zostałam drugim traktorzystą na traktorze z Ritą Łotyszką. Pracowałyśmy razem całą wiosną na polach sowchozu przy sadzeniu ziemniaków. Kiedy traktor dano do remontu Rita odeszła, a mnie przydzielono do elektrowni i po przeszkoleniu zostałam maszynistą. [...]

*

Józef Włodek – *Odmienne losy dwojga dzieci* prof. Kazimierza Rogoyskiego⁸

Pod koniec grudnia 1939 roku, czy też w początkach stycznia 1940 roku odwiedzali profesora [Kazimierza Rogoyskiego] spece rzekomo z pionu szkolnictwa wyższego ZSRR. Proponowali profesorowi katedrę w Akademii Timiriazewskiej, ale odmówił, tłumacząc się podeszłym wiekiem. Prawie równocześnie przybył enkawudzista, który zajął się spisywaniem życiorysu profesora. Gdy już z domu w Szepietowie Podleśnem wychodził po dopełnieniu tego zbierania informacji o profesorze, zawrócił na moment i powiedział: Będę zmuszony tu wrócić za trzy dni...

Nadeszła tragiczna noc po święcie Trzech Króli 1940 roku. Mróz był ogromny, około 25 stopni, do tego zadymka... Drogi były nieprzejezdne. Zagrożeni aresztowaniami, o których pogłoski już krążyły, tej strasznej nocy zasnęli spokojnie. Na przykład dwaj panowie Dąbrowscy, mieszkający w Wojnach Pogorzeli, pomyśleli przed snem o pewnym systemie alarmowym, gdyby enkawudziści brali z gminy furmanki do nocnych wyjazdów. Ale przy takim mrozie i przy zadymce spodziewali się, że mogą tym razem spać spokojnie w swych domach. Tymczasem system alarmowy zawiódł, także na skutek takiej właśnie pogody... Enkawudziści okazali się wytrzymali na mróz i zawieję i tej nocy domy kazali sobie otwierać i wyciągali nieszczęśliwe ofiary. Wywieziono ich nocą na stację do Szepietowa, później wieziono pociągiem do Łap. Widzieli ich jeszcze ludzie w Łapach ustawionych przy ścianie oczywiście nie wewnątrz dworca, ale na mrozie, co było formą okrutnego znęcania się nad bezbronnymi ofiarami. A po tym w Białymstoku brama więzienia zatrzasnęła się za nimi na zawsze lub na wiele lat.

Pani Halina Rogoyska wkrótce po aresztowaniu męża została z Szepietowa Podleśnego wysiedlona. Znaleźli się jednak zacni i życzliwi ludzie we wsi Dąbrowa Dołęgi i u nich zamieszkała wraz z obiema córkami i z synem.

Pewnego wiosennego dnia pani Halina Rogoyska, wraz z córką Teresą wybrały się do Białegostoku, by podać panu profesorowi paczkę do więzienia. W czasie ich nieobecności w Dąbrowie Dołęgach pojawiło się NKWD i aresztowało

⁸ J. Włodek, *Pamiętniki Historyczne*, tom II, Ciechanowiec 2007 (w druku).

Marysię i Kazia Rogoyskich, by ich wywieźć na Syberię. Okłamali oni Marysię i Kazia Rogoyskich, mówiąc im, że ich matka i siostra Terenia już są w drodze do miejsca przesiedlenia, a więc muszą się pośpieszyć, by się z nimi spotkać...

Po powrocie do Dąbrowy Dołęgów pani Halina Rogoyska i córka jej Terenia nie miały nic innego do wyboru, tylko ucieczkę poza granicę niemiecką. Przekroczyły ją w czasie pewnej majowej nocy koło Ostrowi Mazowieckiej. Przedtem musiały z wielkimi trudnościami przedrzeć się przez pas pograniczny, liczący około 20 km szerokości.

Losy Marysi Rogoyskiej ułożyły się niezwykle tragicznie. Pozostały po niej listy pisane z Syberii w okresie przyjaźni hitlerowsko – sowieckiej, czyli przed czerwcem 1941 roku. Pisywała wówczas Marysia wraz z Kaziem do niektórych pracowników majątku Szepietowo Podleśne, a nawet pisała i zagranicę czyli do Warszawy, do znajomych, a później do Matki w Warszawie. Oto treść listu pisanego przez nią z Syberii do Władzi Dmochowskiej, do niedawna kucharki czy też pokojówki w Szepietowie Podleśnem, która wyszła za mąż do wsi Dąbrowa Łazy. List ten został napisany w dniu 29 listopada 1940 roku:

Kochana Władziu. Dawno zbieram się do napisania listu, lecz bałam się Władzię narazić. Pisuję do Zosi i ogrodnika i zdaje się że to im nic nie zaszkodzi. Otóż Władziu kochana, jesteśmy tu na Syberii i już od maja obydwójce z Kazikiem całe lato pracowaliśmy w kołchozie i z powodu nieurodzaju nic za pracę nie otrzymaliśmy.

Póki jeszcze śniegu nie było, chodziliśmy po polach i zbieraliśmy kłoski, lecz tego było bardzo mało więc trzeba było rzeczy sprzedawać na chleb, a których mało mamy do sprzedania.

Mamusia do nas pisuje, pracuje w Zakładzie Ogrodniczym pod Warszawą, a Terenia uczy się w tej samej szkole. Ja piszę do Władzi z wielką prośbą, by o ile może, sprzedała rzeczy, które są u Niej i za nie przysyłała nam pieniądze. Pieniądze idą z Czyżewa. Wiem, że to Władzi robi ogromny kłopot i długo dlatego się wstrzymywałam z pisaniem, lecz bieda przycisnęła i musiałam do Władzi napisać. Zosia [...] teraz [...] przesała mi paczki. Ogrodnik też przysłał nam 100 rubli. Nie piszę adresu na kopercie, żeby nikt nie wiedział, że do Władzi pisuję. Zosia pisuje co 2 tygodnie. Ona zna dobry adres.

Tak nam tęskno za Mamusią i Tatusiem, ale cóż na to poradzimy. Ja teraz tak za nimi tęsknię, że nocami spać nie mogę. Kazik już trzy tygodnie chory, teraz już trochę lepiej, ale nie wstaje.

Władziu kochana, ile możesz, to wybierz na sprzedaż takie rzeczy najmniej potrzebne, a wartościowsze, jak mój płaszcz letni, lub jeszcze co tam jest może uda wyratować, bo ja tutaj właściwie wysprzedałam się do ostatniej koszuli.

Władziu kochana, jak miewa się twoje dziecko, czy zdrowe – dobrze wygląda? Przesyłamy Tobie i Twojemu mężowi najserdeczniejsze życzenia z okazji Bożego Narodzenia, aby Bóg poszczęścił wam w waszej pracy i pozwolił dobrze wychować wasze dzieci. Całuje Cię Władziuniu kochana bardzo mocno, Pana Dmochowskiego serdecznie pozdrawiam, a dziecko ściskam. Marysia Rogoyska.

Inne listy, pisane do Warszawy, czy to w okolice Szepietowa Podleśnego donoszą o rzeczach wstrząsających lub tylko okropnych. Brakuje papieru do pisania listów. Po niezmiernie gorącym lecie przyszła na Syberii zima z temperaturą minus 40 stopni, w chatce, w której mieszka Marysia Rogoyska z wciąż chorującym bratem Kaziem, temperatura była bardzo niska, gdyż palono w niej tylko zmarzłym zielskiem.

Do stacji kolejowej Taincza, po przysyłane z Polski paczki i listy, trzeba iść 40 km, pomimo straszego mrozu i śniegu. Po Bożym Narodzeniu, przy 50 – stopniowym mrozie poszła Marysia Rogoyska na stację, gdzie złapała ją zadymka. Byłyby zginęły obie z Kasią Grąbczewską, gdyby nie jechały sanki zaprzężone w konie, a na nich jakiś Polak...

Właściciel mieszkanca, w którym Marysia z Kazikiem Rogoyscy mieszkali, wstawił tam krowę. Musieli się wynosić, co im wyszło na lepsze, bo nowa izdebka miała okno z szybą, czego poprzednia nie miała. W sąsiednim sowchozie zmarło siedmioro ludzi. Marysia i Kazik Rogoyscy nie mogli napisać że to z głodu. W okolicznych wsiach ludność rdzenna miejscowa tak biedna, że brakowało kupców na rzeczy. Zboże i ziemniaki były ogromnie drogie. Na wiosnę Kazio Rogoyski nie dostał też pracy.

Z listów wynikało, że gdyby nie pomoc pieniężna i gdyby nie paczki żywnościowe nadsyłane poprzez pocztę w Czyżewie, który stał się wówczas miastem ważnym bo stolicą rejonu, to by nie doczekali oboje wiosny roku 1941... Wrażliwa Marysia Rogoyska musiała dostrzegać różnice swego losu i losów Matki i Tereni w Warszawie. Pani Halina Rogoyska dostała bowiem zaraz pracę w stacji Doświadczalnej Ogrodniczej w Morach dzięki zacnej pani dr Bronisławie Cholewińskiej, a co ważniejsze także mieszkanie i możliwość zaopatrzenia się w żywność. Natomiast Terenia Rogoyska dostała się do Szkoły Sióstr Zmartwychwstaniek i kontynuowała przedwojenną naukę, otrzymując darmo żywność i mieszkanie i nie musiała nic płacić za szkołę.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w dniu 22 czerwca 1941 roku przerwał wszelką łączność z okolicami Szepietowa i z Warszawą. Za to zaświtała nadzieja związana z układem Sikorski – Majski. Ale szczęście uśmiechnęło się tylko do Kazia Rogoyskiego, który już miał wówczas siedemnasty rok życia i bez przeszkód dostał się do Armii generała Władysława Andersa. Kazio Rogoyski wojował w II Korpusie, a po wojnie osiadł w Anglii, podczas gdy nieszczęsna Marysia Rogoyska napotkała na jakieś ogromne przeszkody na drodze do armii polskiej. Dołączył się do tego nastrój beznadziejności, brak brata, poczucie skazania na dalsze życie na *Nieludzkiej Ziemi*, na Syberii, i jakieś inne poważne zmartwienia i nerwy jej nie wytrzymały: rzuciła się pod pociąg ponosząc śmierć na miejscu. Podobno szczątki jej ciała zebrał i pochował jakiś starszy Żyd, być może pochodzący z Wysokiego Mazowieckiego, może należący do tych Żydów, którzy z Szepietowem Podleśnem handlowali, i którzy wiedzieli, że ojciec nieszczęsnej Marysi Rogoyskiego prosił biskupa łomżyńskiego o to, by potępił rozbijanie żydowskich straganów.

*

Zestawienie tych trzech, mniej znanych wspomnień daje w pewnym stopniu obraz sytuacji o tworzeniu się armii polskiej pod dowództwem gen. W. Andersa oraz o dalszym ciągu naszej katorgi po zerwaniu paktu Sikorski-Majski., a były to jeszcze cztery lata niewoli. Mieliliśmy status ludzi „wolnych”, co prawda przez pewien okres nawet byliśmy obywatelami Związku Sowieckiego. Po pewnym czasie jednak w wyniku porozumień, tym razem z ugrupowaniem komunistycznym Wandy Wasilewskiej,⁹ Związkiem Patriotów Polskich, otrzymaliśmy ponownie status obywateli polskich. Przeprowadzono „opcję” polegającą na udokumentowaniu polskiego obywatelstwa w 1939 r., po której osoby narodowości polskiej i żydowskiej miały prawo do powrotu do Polski. Natomiast Ukraińcy, Białorusini, Czesi, Niemcy – mimo że udowodnili swe polskie obywatelstwo w 1939 r., pozostali na miejscu zesłania. Zależało to od dokonanego wcześniej, w trakcie tych zmian w naszych dokumentach, wpisu. Wyznanie prawosławne najczęściej uznawano jako pretekst do przyznania się do narodowości białoruskiej lub ukraińskiej.

Rodzina prawosławna Matosiuków, sołtysa ze wsi Ogrodniki koło Drohiczyna, z którą w jednym wagonie byliśmy wywiezieni na Syberię, nie miała prawa powrotu i pozostała w Połtawce. Podobnie osadniczka Czeszka z Wołynia, Kwiatkowska z czterema córkami – naszymi koleżankami, pozostała w Kijałach. Były to dla nich tragiczne przeżycia. Naruszały zaś boleśnie nasze poczucie wielonarodowości Rzeczypospolitej.

Adam Wołk

⁹ Gazety tego ugrupowania były już wydawane podczas organizowania Armii Andersa. Mój brat cioteczny, Czesław Sułkowski jadąc na rekonesans w rejon tworzenia oddziałów przywiózł ze sobą taki egzemplarz. Znamienne było to, że gazetę drukowano normalną polską czcionką, podczas gdy gazety z czasów trwania porozumienia Sikorskiego, były drukowane czcionką kazachską (m.in.: „e” obrócone zamiast „ę”).

